

Byłem w Polsce – 20

25 sierpnia 2018

Naprawdę żałowałem, że w Lublinie nie mogliśmy zrobić dłuższej przerwy. I nie dlatego, żebym jakoś specjalnie chciał kontemplować mury koszar mojej dawnej jednostki.

Mury jak mury – wyglądały mniej więcej tak samo jak przed półwiekiem, ale podobnie jak miejsca w moim rodzinnym miasteczku, też nie wycisnęły łez „z ocz moich”. Chciałem po prostu zostać troszeczkę dłużej i pooglądać przepiękne miasto, pójść na dobry obiad i może spędzić cały dzień, ale cóż – gonił nas czas.

Według GPS drogę do Warszawy można niby było zrobić w niecałe trzy godziny, ale od czasu gdy ta globalna nawigacja wpędziła mnie kiedyś do jeziora, bardziej ufałem własnemu nosowi i czułem, że może nam zejść dłużej.

Ruszyliśmy, nie zwlekając.

W Moszczance skręciliśmy na Dęblin, żeby potem kierować się na Otwock, Falenicę i tak dalej, aż do Anina.

Ta droga przez Dęblin znowu przypomniała mi dawne czasy, a konkretnie ten sam pamiętny rok 1968 – rok pełny wydarzeń, dramatów i zmian. Inwazja w Czechosłowacji, tragedia polskiego Marca, zabójstwa Martina Luthera Kinga, Roberta Kennedy'ego, wietnamska wojna i w ogóle powszechna kontestacja.

To był rok paryskiego maja, krwawych starć w Ameryce, hipisów, wolnej miłości, minispódniczek i długich włosów. To był prawdziwie czas zmian.

W tym kontekście historia, którą opowiem, była prawie niczym, ale z drugiej strony, wszystko ma swoją skalę i perspektywę.

To było pod koniec marca 1968, a dokładnie po mojej pierwszej sesji egzaminacyjnej. Koniec pierwszego semestru! Wtedy to,

mając przed sobą prawie dwa tygodnie przerwy międzysemestralnej, postanowiłem pojechać na „pielgrzymkę” do Kodnia. Czułem, że powinienem. Ująłem to słowo w cudzysłów, bo w gruncie rzeczy nie chodziło o to, co się zwykle pod tym słowem rozumie.

Byłem wtedy pod wrażeniem pięknej książki Zofii Kossak-Szczuckiej pod tytułem „Beatum Scelus”, czyli „Błogosławiona wina”, o porwaniu obrazu Matki Boskiej Gregoriańskiej przez Mikołaja Sapiechę.

Sapieha ukradł obraz z papieskiej kaplicy, przemierzył w szaleńczym tempie pół Europy i dowiózł go do swoich włości na Podlasiu. Obraz słynął cudami i w rzeczy samej zbliżył do wiary wielu ludzi. Sprawa działała się w siedemnastym wieku i rozpętała podówczas ogromną burzę, w wyniku której senator Rzeczypospolitej Mikołaj Sapieha został ekskomunikowany!

Opis tej ekskomuniki zrobił na mnie ogromne wrażenie. Zresztą robi do dziś.

Kossak-Szczucka pisze tak: „Z rozkazu kurii rzymskiej obwołano tedy po wszystkich metropoliach, arcybiskupstwach, kapitułach, dziekaniach i najdrobniejszych nawet parafiach wioskowych, że książę litewski Mikołaj Sapieha, przezwiska Pius, herbu Pogoń, Kolumna, Lelija i Lis, comes na Kodniu, wojewoda brzeski etc., jest obłożony klątwą wieczystą i przez Kościół za umarłego uznany. Że wzbronione jest mu Imię Boga, Sakramenty Święte, wstęp do kościoła i obcowanie z wiernymi, a po śmierci w poświęconej ziemi odpoczynek. Nieużyteczne modlitwy niczyje, niedostępna łaska Boża. Że wyłączony jest po wieki ze społeczności chrześcijańskiej – zaś żona jego ma być rozumiana jako wdowa, dzieci jako sieroty, a dom jako pusty!”.

To było coś, co się w tamtejszych czasach w głowach ludziom nie mieściło.

A jednak Sapieha przetrwał i na koniec wszystko było dobrze. W każdym razie obraz Matki Boskiej wisi do dziś w sanktuarium w

Kodniu nad Bugiem i oczywiście wisiał wtedy w 1968, kiedy to pod koniec marca wybrałem się, żeby go zobaczyć.

Droga przez Dęblin przypomniała mi moją drogę powrotną z Kodnia. Jechałem wtedy przez Radzyń Podlaski, Kock i właśnie Dęblin.

W tamtą stronę było jednak inaczej, bo postanowiłem jechać pociągiem z Dworca Wileńskiego. Tak, wiem, że teraz to jest wspaniały dworzec, ale wtedy – przed pięćdziesięcioma laty – należał do najbiedniejszych. Pociągi, które odchodziły stąd w kierunku Hajnówki, Białej Podlaskiej i Terespoła, składane były z obskurnych wagonów z wąskimi oknami i twardymi, drewnianymi ławkami. Brudne i zaniedbane. To było coś takiego jak Przemyśl czy Zagórz, o których moja mama mówiła „Azja”!

– Wiesz – mówiła – na przemyskim dworcu czuje się Azję!

W osobowym pociągu trasy Warszawa-Hajnówka definitywnie można było mieć takie samo wrażenie.

Wyjeżdżałem pod koniec marca. Ponure przedwiośnie, brudny śnieg, przenikliwie zimny wiatr i szum gołych gałęzi drzew sprawiał, że wszystko wyglądało jeszcze gorzej, jeszcze smutniej i beznadziejniej. Jakby tego nie było dosyć, wyjeżdżałem z monstrualnym kacem spotęgowanym paleniem amerykańskich papierosów „Pall Mall”, które dostałem na ciuchach na Skaryszewskiej na Pradze, w ramach rozliczenia za sprzedaną kurtkę. Kiedyś, jak będzie okazja, wrócę do tego pożał się Boże handlowania na Skaryszewskiej, chociaż w istocie rzeczy nie ma co o tym mówić, bo po prostu jak mi brakowało pieniędzy, to wynosiłem na bazar coś z ubrania. W ulicznych bramach w okolicy Skaryszewskiej zawsze było wielu, którzy kupowali i sprzedawali.

Potem – w miarę wzbogacania się społeczeństwa – handle ustały, ale wtedy jeszcze miały się znakomicie. Za dość dobrą, amerykańską kurtkę dostałem osiemdziesiąt złotych i paczkę fajek, co nie było tak źle, ale nie było i dobrze, więc zaraz

po transakcji poszliśmy z moim przyjacielem Antkiem na późne śniadanie i zeszło nam do wieczora.

Wyjeżdżałem na drugi dzień.

Z Wileńskiego pociąg jechał przez Łosice do Białej Podlaskiej. Trząsł przepotwornie. Wagony tłukły się na boki, twarde ławki torturowały plecy i w ogóle chciało się wyć, bo tłok był nieopisany i zapachy dalekie od – dajmy na to – francuskich perfum. Straszna beznadzieja związana z powódczanym pragnieniem i niewygoda podróży sprawiały, że dosłownie modliłem się o jakąś stację, na której mógłbym wysiąść, napić się czegoś, zrobić siusiu i po prostu odpocząć. Oczywiście przysięgałem sobie solennie nigdy więcej nie pić! Nigdy! Ani kropli!

Na całe szczęście dotarliśmy do Łosic i to się naprawdę bardzo dobrze składało, bo w Łosicach miałem dobrego kolegę ze szkoły.

Te odwiedziny spotęgowały mojego kaca tak dramatycznie, że zląkłem się jakiejś spirali śmierci, więc po pożegnaniach i odwiezieniu mnie motorem na przystanek PKS wypiliśmy w sklepie tuż obok po dwa piwa marki „Piwo”. I to był koniec. Przespałem cały odcinek do Białej Podlaskiej. W Białej był jarmark. Czekając na autobus do Kodnia, włóczyłem się trochę tu i ówdzie, jednocześnie gwałtownie szukając ubikacji, która zaczynała być paląco potrzebna.

Byłem w wielu publicznych ubikacjach na świecie, ale to, co zobaczyłem wtedy na targowym placu w Białej, przeszło wszelkie moje oczekiwania. Do dziś nie wiem, kto i jak mógł z niej korzystać. Nazwać ją kloaką byłoby dla niej pochlebstwem!

Na całe szczęście udało mi się uzyskać zgodę fryzjera, który po stryżeniu-goleniu i położeniu na twarzy zmoczonego gorącą wodą ręcznika, pozwolił mi skorzystać z jego prywatnej ubikacji. Odetchnąłem. Odświeżony i z trochę lepszym nastawieniem ruszyłem do Kodnia.

Chciałbym to jeszcze raz powtórzyć: to był 1968 rok i będąc pod wrażeniem różnych wydarzeń, odczuwałem potrzebę tej „pielgrzymko-wycieczki”.

Nie umiem tego inaczej wyrazić. Po prostu chciałem się oderwać od codzienności i przeżyć coś głębszego.

Innymi słowy, miałem przekonanie, że Kodeń może mi w tym pomóc.

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: Goniec.net